

Tytuł oryginału: 蛙
Copyright © 2009, Mo Yan
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV
Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV
Wydanie I
Warszawa

Część pierwsza

Szanowny Panie Sugitani Yoshito,

Od naszego rozstania minęło już kilka miesięcy, ale wciąż pamiętam czas spędzony wspólnie w moich rodzinnych stronach. Nie zważając na własne zdrowie i wiek, zechciał Pan przyjechać do obcego kraju, do naszej zacofanej dziury, żeby porozmawiać ze mną i moimi krajanami, miłośnikami literatury. Jesteśmy tym niezwykle wzruszeni. Przed południem drugiego dnia nowego roku księżycowego wygłosił Pan dla nas długi referat zatytułowany „Literatura i życie”. Został już spisany z nagrania i jeśli zechce się Pan łaskawie zgodzić, chcielibyśmy go wydrukować w naszym lokalnym wydawnictwie Powiatowego Stowarzyszenia Literatury i Sztuki „Głos Żab”. W ten sposób ci, którzy nie mogli wystuchać Pańskiego wykładu, będą mieli możliwość zapoznania się z Pańskim mistrzowskim językiem i czegoś się nauczyć.

Przed południem pierwszego dnia nowego roku towarzyszyłem Panu w odwiedzinach u mojej ciotki, od pięćdziesięciu lat pracującej

jako położna. Chociaż przez szybkość jej mowy i przez jej lokalny akcent nie rozumiał Pan wszystkiego, co mówiła, jestem pewien, że zrobiła na Panu wielkie wrażenie. W czasie wykładu, przedstawiając swoje poglądy na literaturę, wielokrotnie przywoływał Pan jej postać. Mówił Pan, że oczyma wyobraźni widzi obrazy wiejskiej położnej: jak pędzi na rowerze przez zamarznąłą rzekę, mocno naciskając na pedały, z apteczką na plecach i parasolką w rękę; jak zmaga się ze stadami żab; jak jedną ręką obejmuje niemowlę, ma zakrwawione rękawy i głośno się śmieje; albo widzi ją Pan przygnębioną, z papierosem w ustach i niedbale ubraną. Mówił Pan, że te obrazy czasami zlewają się w jeden, a czasem rozdzielają, jak seria rzeźb tej samej osoby. Zachęcał Pan miłośników literatury w naszym powiecie, aby obrali sobie moją ciotkę za bohaterkę i napisali o niej jakiś utwór: powieść, wiersz albo sztukę. Mistrzu, wielu ludzi, w których pobudził Pan natchnienie, wzięło się już do tego tematu. Jeden z moich przyjaciół pisarzy napisał powieść, której bohaterką jest wiejska ginekolożka. Nie chcę wchodzić mu w drogę, więc chociaż w sprawach mojej ciotki orientuję się dużo lepiej niż on, zgodziłem się na jego książkę.

Mistrzu, chciałbym napisać sztukę na kanwie losów mojej ciotki. Drugiego dnia wieczorem, kiedy rozmawialiśmy, siedząc na moim kangu, Pańska błyskotliwa i niebanalna analiza i uznanie dla Sartre'a jako dramaturga były dla mnie prawdziwą podniętą. Chcę pisać, chcę napisać sztukę równie znakomitą jak Muchy czy Brudne ręce; uczynić wszystko, by zbliżyć się do tego wielkiego twórcy. Przestrzegam Pańskich wskazówek: nie śpieszyć się, pracować powoli, być cierpliwym jak żaba przycupnięta na liściu lotosu*

* Kang to rodzaj pieca popularny w Chinach północnych, utrzymujący ciepło w pomieszczeniu i służący także jako mebel do siedzenia i spania.

w oczekiwaniu na owada, a gdy wszystko dobrze się obmyśli, być szybkim jak żaba jednym skokiem chwytająca ofiarę.

Zanim odwiozłem Pana na lotnisko w Qingdao, poprosił mnie Pan, abym w liście przedstawił Panu historię mojej ciotki. Chociaż jej życie jeszcze się nie skończyło, już można je opisać niemal w formie eposu. W jej życiu rozegrało się tak wiele zdarzeń, że nie wiem, jak długi byłby ten list. Proszę więc, by zechciał Pan mi wybaczyć i zgodził się na to, że napiszę tyle, ile zdołam, po czym zakończę. W epoce komputerów pisanie piórem na papierze jest już luksusem, choć oczywiście jest też przyjemnością. Mam nadzieję, że czytając mój list, Pan także odczuje tę archaiczną przyjemność.

A przy okazji wspomnę jeszcze Panu, że dwudziestego piątego pierwszego miesiąca stara śliwa na naszym podwórku, którą przez jej niezwykle kształt nazwał Pan „młodym uczonym”, zakwitła na czerwono. Mnóstwo ludzi przyszło ją podziwiać, ciotka też. Ojciec powiedział, że tego dnia spadł puszysty śnieg pachnący kwiatami i jego woń oczyszcza ludzkie umysły.

Pański uczeń, Kijanka

Pekin, 21 marca 2002

ROZDZIAŁ I

Mistrzu,

W naszych stronach był kiedyś taki stary zwyczaj, że kiedy urodziło się dziecko, dawano mu na imię nazwę części ciała lub organu, na przykład Chen Nos, Zhao Oko, Wu Jelito, Sun Ramię. Nie zgłębiałem pochodzenia tego zwyczaju, może brał się z przekonania, że „nędzne imię daje wielką przyszłość”, a może stąd, że matki uważają dzieci za część własnego ciała. Dziś ten zwyczaj już nie funkcjonuje, bo młodzi rodzice nie chcą, by ich dzieci nosiły takie dziwaczne imiona. Dzieci z naszych stron dzisiaj zwykle nazywają się pięknie i wyszukanie, z inspiracji telewizyjnych seriali z Hongkongu i Tajwanu, a nawet z Japonii i Korei. A ci, którzy kiedyś nazywali się jak części ciała, zmienili dawne imiona na elegantsze. Oczywiście, są też tacy, którzy zostali przy starych imionach, jak Chen Ucho albo Chen Brew.

Chen Nos, ojciec Ucha i Brwi, był moim szkolnym kolegą i przyjacielem z lat dziecięcych. Jesienią 1960 roku zaczęliśmy

szkołę podstawową Dayanglan. To były czasy głodu, więc najlepiej pamiętam wszystko, co miało związek z jedzeniem. Przykładem może być opowiadana już przeze mnie historia o jedzeniu węgla. Wielu ludzi uważa, że ją zmyśliłem, ale przysięgam na moją ciotkę – to nie zmyślenie, ale najprawdziwszy fakt.

To była tona węgla pierwszej jakości z kopalni Longkou, tak błyszczącego i gładkiego, że można się było w nim przejrzeć. Potem nigdy już nie widziałem tak błyszczącego węgla. Wiejski woźnica Wang Stopa przywiózł go z miasta powiatowego. Wang Stopa miał kwadratową głowę i gruby kark, jąkał się, więc gdy mówił, oczy zaczynały mu lśnić, a twarz pokrywała się czerwienią. Jego syn Wątroba i córka Nerka chodzili ze mną do szkoły. Byli jednojajowymi bliźniętami. Wątroba był wysoki, ale Nerka była maleńka i nigdy nie miała urosnąć, a brzydko mówiąc, była po prostu karlicą. Ludzie powiadali, że u matki w brzuchu Wątroba zabierał jej całe jedzenie i dlatego Nerka została taka mała. Rozładunek węgla odbywał się akurat w chwili, kiedy wyszliśmy ze szkoły, więc z tornistrami na plecach zebraliśmy się hałaśliwie wokół wozu. Stopa wielką szuflą rzucał węgiel na ziemię, a bryłki z grzechotem spadały jedna na drugą. Stopa zaczął ocierać pot na karku kawałkiem niebieskiego płótna i w tym momencie zauważył Wątrobę i Nerkę.

– Do domu, kosić trawę! – wrzasnął.

Nerka odwróciła się i pobiegła, kołysząc się trochę na boki i z trudem utrzymując równowagę, jak dziecko, które dopiero zaczyna chodzić. Miała w tym wiele wdzięku. Wątroba cofnął się i skulił, ale nie odchodził. Był bardzo dumny z pracy ojca. Dzisiejsze dzieci nie znają takiej dumy, nawet jeśli ich ojcowie są lotnikami. Ten wóz, ten wielki wóz wzbijający tumany pyłu

spod kół! Przy dyszlu szedł były wojskowy koń, który kiedyś przewoził pociski artyleryjskie i podobno miał wielkie wojenne zasługi. Na zadzie wypalono mu znak. Koło niego stał złośliwy muł, zawsze gotów wierzgać, kopać i gryźć. Miał zły charakter, ale był zadziwiająco silny i szybki. Tylko Stopa umiał go okiełznać. Wielu ludzi we wsi zazdrościło mu zajęcia, ale wszyscy bali się tego muła. Pogryzł już dwoje dzieci: Yuana Policzka, który był synem Yuana Twarzy, i Nerkę. Chwytał ją zębami za głowę, kiedy wybiegła przed dom, żeby się pobawić.

Wszyscy czuliśmy respekt przed Wangiem Stopą. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i siłę wołu – potrafił chwycić stukilowe żarno i na wyprostowanych ramionach unieść je nad głowę. Ale największy respekt i podziw budził w nas jego „bicz boży”. W ten dzień, kiedy szalony muł ugryzł Policzka też w głowę, Stopa szarpnął hamulec, stanął rozkraczony nad dyszlem, podniósł bat i zaczął smagać zwierzę po zadzie. Każde głośnie smagnięcie zostawiało na skórze muła krwawą pręgę. Początkowo usiłował się stawiać, ale po chwili, spocony i drżący, przykląkł przednimi nogami na ziemi, schylił łeb tak nisko, że dotykał wargami ziemi, z zadem do góry wystawionym na bicie.

W końcu ojciec Policzka Yuan Twarz wstawił się za nim:

– Stary Wangu, odpuść mu już!

Stopa, ciągle zły, przestał bić. Yuan Twarz był sekretarzem partii, pełnił najwyższy urząd we wsi i Stopa nie śmiał mu się przeciwstawić. Kiedy muł ugryzł Nerkę, też spodziewaliśmy się przedstawienia, ale Stopa nawet nie tknął bata. Wziął garść popiołu z kopczyka przy drodze, wtarł go w głowę Nerki i zaniósł ją do domu. Nie uderzył muła, ale smagnął batem żonę i kopnął Wątrobę.

Pokazywaliśmy sobie muła palcami i rozmawialiśmy na jego temat. Był straszliwie wychudzony, a nad oczami miał dwa wgłębienia, tak wielkie, że można by w nich zmieścić jajko. Jego spojrzenie było tak smutne, jakby miał za chwilę się rozplakać. Naprawdę nie wiedzieliśmy, skąd w tak chudym zwierzęciu tyle złości i siły. Kiedy tak paplając, zbliżaliśmy się do niego, szufla w rękach Stopy znieruchomiła, a on sam zmierzył nas takim spojrzeniem, że cofnęliśmy się przestraszeni. Stos przed szkolną kuchnią był coraz wyższy, a węgla na wozie ubywało. Wszyscy pociągnęliśmy nosami, bo poczuliśmy nagle jakiś niezwykle zapach. Był trochę podobny do zapachu palącej się sosny, a trochę do zapachu pieczonych orzeszków. Węch poprowadził nasz wzrok do stosu błyszczącego węgla.

Stopa popędził swoje zwierzęta i wóz wyjechał ze szkolnego dziedzińca. Inaczej niż mieliśmy w zwyczaju, nie pobiegliśmy za wozem, ryzykując, że oberwiemy batem. Nie odrywając wzroku od stosu, powoli się do niego zbliżaliśmy. Szkolny kucharz, stary Wang, nadszedł, kołysząc się, z dwoma wiadrami wody. Jego córka Wang Renmei była naszą koleżanką, a potem została moją żoną. Jako jedyne z niewielu wówczas dzieci nie nosiła imienia pochodzącego od części ciała, bo jej ojciec kucharz był człowiekiem wykształconym. Początkowo pełnił funkcję kierownika sekcji hodowli w komunie, ale ponieważ powiedział coś nierozsądnego, usunięto go ze stanowiska i przysłano na wieś. Popatrzył na nas podejrzliwie. Wydawało mu się pewnie, że chcemy wpaść do kuchni i ukraść coś do jedzenia, więc zawołał:

– Wynocha stąd, smarkacze! Tu nie ma dla was nic do jedzenia, wracajcie do domów, niech was matki nakarmią własnym mlekiem!

Usłyszeliśmy, co powiedział, a nawet poważnie zastanowiliśmy się nad jego sugestią, ale zrozumieliśmy, że tylko nam dokuczka. Mieliśmy już po osiem lat, więc jak mogliśmy pić mleko matek? A do tego nasze matki były i tak ledwo żywe z głodu, zapadnięte piersi przywarły im do żeber, więc nie było w nich mleka. Nikt z nas jednak nic nie powiedział. Staliśmy przed stosem węgla, pochylając się nad nim coraz niżej, jak geologowie, którzy natrafili na niezwykłą skałę. Węszyliśmy jak psy szukające jedzenia wśród śmieci. I tu przede wszystkim podziękowania należą się Nosowi i Nerce. Najpierw Nos podniósł bryłkę, powąchał i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Jego nos był ogromny i często sobie z niego żartowaliśmy. Podumawszy przez chwilę, z całej siły uderzył trzymaną w rękę bryłką o drugą. Węgiel rozkruszył się i mocno zapachniał. Podniósł kawałek, a wtedy Nerka też podniosła kawałek. Nos polizał swój kawałek językiem, spróbował, a potem przewrócił oczami i spojrzął na nas. Nerka naśladując go, też polizała węgiel i spojrzała na nas. A potem popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się i jednocześnie ugryźli, przeżuli, znowu ugryźli i znowu zaczęli energicznie żuć. Na ich twarzach pojawił się wyraz entuzjazmu. Wielki nochal Nosa zrobił się czerwony i pojawiły się na nim kropelki potu, a nosek Nerki umazał się na czarno. Jak urzeczeni słuchaliśmy ich chrupania. Ze zdumieniem zobaczyliśmy, że przeżykają. Zjadali kawałki węgla!

– Koledzy! Pycha! – powiedział Nos zduszonym głosem.

– Braciszku! Jedz! – zawołała Nerka.

Nos znowu podniósł kawałek i zaczął chrupać, a Nerka podała kawałek Wątrobie. Zaczęliśmy ich naśladować – rozbiliśmy bryłki, odgryźliśmy kawałek, posmakowaliśmy – było trochę

jakby piaszczyste, ale smakowało niezłe. Nos, wiedziony potrzebą pomocy, podniósł bryłkę i poradził nam:

– Koledzy, takie jedzcie, takie są dobre.

Pokazał nam w swojej bryłce coś przezroczystego i jasnożółtego, podobnego do bursztynu.

– Takie z żywicą są najlepsze.

Mieliśmy już lekcje przyrody i wiedzieliśmy, że przed wieloma wiekami węgiel powstał z lasów zakopanych pod ziemską skorupą. Lekcje przyrody prowadził z nami kierownik szkoły Wu Jinbang. Nie uwierzyliśmy ani jemu, ani podręcznikowi: lasy są zielone, jak mogłyby się zmienić w czarny węgiel? Uważaliśmy, że kierownik i podręcznik kłamią. Dopiero kiedy odkryliśmy w węglu żywicę, stwierdziliśmy, że ani kierownik, ani podręcznik nas nie oszukiwali. Z trzydzieściorga pięściorga uczniów w naszej klasie zabrakło wtedy zaledwie kilku dziewczynek, reszta była w komplecie. Każdy z nas trzymał w rękach bryłkę węgla, nadgryzał ją i głośno chrupał. Wyglądaliśmy, jakbyśmy entuzjastycznie odgrywali jakieś przedstawienie, jak aktorzy w jakiejś dziwnej sztuce. Xiao Dolna Warga trzymał bryłkę w ręce, oglądał ją ze wszystkich stron, ale nie jadł, a na twarzy miał wyraz obrzydzenia. Nie jadł węgla, bo nie był głodny, a nie był głodny, ponieważ jego ojciec był magazynierem w spichlerzu komuny.

Kucharz Wang z rękami umazanymi w mące wybiegł na dwór. O matko, na rękach miał mąkę! W tym czasie w naszej stołówce poza kierownikiem i nauczycielami jadal także dwaj wysocy urzędnicy z komuny.

– Dzieci, co wy robicie? – krzyknął zdumiony Wang. – Co wy jecie? Węgiel?!

Nerka swoimi maleńkimi rączkami podała mu bryłkę i pisnęła:

– Wujku, to jest pyszne, zjedz kawałek.

Wang potrząsnął głową.

– Nerko, taka malutka dziewczynka i z łobuziakami takie drażki urządziła.

Nerka ugryzła kawałek i rzekła:

– Wujku, naprawdę pycha.

Był już wieczór i słońce czerwieniało na zachodzie. Dwaj urzędnicy z komuny przyjechali na rowerach. Oni też zwrócili na nas uwagę. Stary Wang chciał przepędzić nas nosidłem, ale jeden z nich – nosił nazwisko Yan i był chyba wiceprzewodniczącym – powstrzymał go. Popatrzył na nas z niechęcią, machnął ręką i poszedł do stołówki.

Następnego dnia w klasie na lekcji z panią Yu chrupaliśmy węgiel. Usta mieliśmy czarne, w kącikach warg zbierał się miąższ. Jedli nie tylko chłopcy – dziewczynki, które nie uczestniczyły we wczorajszej węglowej uczcie, poszły za przykładem Nerki i także spróbowały. Córka naszego kucharza i moja późniejsza pierwsza żona Wang Renmei jadła z wielkim apetytem. Kiedy teraz sobie to przypominam, wydaje mi się, że miała zapalenie dziąseł, bo z ust leciała jej krew. Pani Yu napisała coś na tablicy, po czym odwróciła się i na nas popatrzyła. Najpierw zwróciła się do swojego syna, naszego kolegi Li Ręki.

– Ręko, co wy jecie?

– Węgiel, mamo.

– Proszę pani, myjemy węgiel, chce pani spróbować?! – zawołała Nerka z pierwszej ławki, a jej głosik zabrzmiał jak miauczenie kota.

Pani Yu wzięła bryłkę z jej ręki, zbliżyła ją do nosa, powąchała. Po kilku chwilach bez słowa oddała ją Nerce.

– Dzieci – powiedziała – dzisiaj mamy szóstą lekcję *Wrona i lis*. Wrona znalazła kawałek mięsa i bardzo zadowolona usiadła na czubku drzewa. Lis stanął pod drzewem i zawołał do niej: „Pani wrono, pani ma taki piękny głos, że gdyby pani zaśpiewała, wszystkie ptaki na świecie umilkłyby ze wstydu”. Pochwały lisa zawróciły wronie w głowie, otworzyła dziób i wypuściła mięso, które wpadło prosto do pyska lisa.

Usmolonymi ustami powtarzaliśmy lekcję za panią Yu.

Pani Yu była wykształconą kobietą, ale dopasowała się do miejscowego obyczaju i nazwała swojego syna Ręką. Kilka lat później Ręka z bardzo dobrymi wynikami dostał się do akademii medycznej, a potem pracował jako chirurg w szpitalu powiatowym. Kiedy Chen Nos stracił cztery palce w sieczkarni, Ręka przyszył mu trzy i je uratował.

ROZDZIAŁ 2

Skąd u Nosa wziął się taki wielki nochal, inny niż u wszystkich? Na to pytanie mogłaby odpowiedzieć chyba tylko jego matka.

Ojciec Nosa Chen Czoło (jego tak zwane imię społeczne brzmiało Tianting) był jedynym w całej wsi człowiekiem, który miał dwie żony. Umiał dobrze pisać, znał wiele znaków i przed wyzwoleniem posiadał sto arów dobrej ziemi. Otworzył gorzelnię i sprzedawał wódkę w Harbinie. Jego żona była miejscowa i urodziła mu cztery córki. Przed wyzwoleniem Czoło uciekł, a po wyzwoleniu, chyba w 1951 roku, Yuan Twarz z dwoma milicjantami pojechał po niego do Mandżurii i sprowadził go z powrotem.

Czoło uciekł samotnie, porzucił żonę i córki, ale wracając, przywiózł ze sobą kobietę. Miała jasne włosy i niebieskie oczy, była koło trzydziestki, nazywała się Ai Lian i na rękach trzymała cętkowanego psa. Ponieważ przed wyzwoleniem wzięła z Czołem ślub, więc w świetle prawa Czoło posiadał dwie żony. We wsi było wielu biedaków gołych jak święci tureccy, którym bardzo

się nie podobało, że Czoło ma aż dwie kobiety i na pół żartobliwie, a na pół poważnie zaproponowali, żeby jedną im oddał do wspólnego użytku. Czoło skrzywił się tylko i trudno było powiedzieć, czy chciało mu się śmiać, czy płakać. Dwie żony Czoła najpierw mieszkały pod jednym dachem, ale ponieważ się kłóciły, i to okropnie, za zgodą Yuana Twarzy młodszą żona została ulokowana w bocznym skrzydle szkoły.

W budynkach szkoły początkowo znajdowała się gorzelnia Chena, więc kiedyś była to jego własność. Wreszcie obie żony doszły do porozumienia i mieszkały w domu na zmianę. Pies, którego jasnowłosa kobieta przywiozła z Harbinu, został zagryziony przez wiejskie kundły, a wkrótce po tym, jak ciężarna Ai Lian zakopała jego trupa w ziemi, urodził się Nos. Niektórzy ludzie mówili więc, że dusza psa wcieliła się w Nosa, który może właśnie z tego powodu miał też świetny węch. W tym czasie moja ciotka była już po kursach nowego położnictwa w powiecie i została wykwalifikowaną położną. To był rok 1953.

W 1953 roku nowe metody odbierania porodów spotykały się na wsi z niechęcią, głównie z powodu plotek rozsiewanych przez wiejskie „babki”. Opowiadały, że dzieci rodzone po nowemu zachorują na wietrznicę. Dlaczego „babki” tak mówiły? Ponieważ nowe metody położnicze zabierały im pracę, z której się utrzymywały. Za każdy odebrany poród otrzymywały posiłek, a poza tym dostawały dwa ręczniki i dziesięć jajek. Na samo wspomnienie o „babkach” ciotka zaczynała zgrzytać zębami. Mówiła, że doprowadziły do śmierci ogromnej liczby noworodków i ich matek. Opowieści ciotki napełniały nas przerażeniem, wyobrażaliśmy sobie, że „babki” miały wielkie pazury, zielone błyski w oczach jak upiory i strasznie śmierdziało im z ust. Ciotka

opowiadała, że wałkiem do ciasta uciskały brzuch rodzących kobiet i zatykały im usta brudnymi szmatami, jakby dziecko miało urodzić się przez usta. Mówiła, że nie miały nawet podstawowej wiedzy anatomicznej i kompletnie nie znały fizjologii kobiety. Opowiadała, że potrafiły wsadzić rękę do dróg rodnych i na siłę wyciągać dziecko, niekiedy nawet razem z macicą. Przez jakiś czas, gdyby ktoś zapytał mnie, kto jest największym zło- czyńcą i zasługuje na rozstrzelanie, bez namysłu powiedziałbym „babki”. Dopiero później zrozumiałem, że ciotka była niespra- wiedliwa. Takie ciemne, dzikie „babki” z pewnością istniały, ale były wśród nich także kobiety, które opierając się na własnym doświadczeniu, poznały tajemnice kobiecego ciała. Moja bab- cia była właśnie taką „babką” wyznającą zasadę nieprzeszkadza- nia, pozwalania naturze, by działała sama. Uważała, że dobra „babka” wspiera rodzącą psychicznie, a kiedy dziecko już się urodzi, nożyczkami przecina pępowinę, smaruje wapnem, owi- ja i to wszystko. Ale jej usługi nie cieszyły się powodzeniem, bo uważano, że jest leniwa. Ludzie widocznie woleli „babki” hałaśli- we, miotające się, spoczone przy porodzie nie mniej niż rodząca.

Ciotka była córką mojego najstarszego dziadka (czyli naj- starszego brata mojego rodzzonego dziadka). Był lekarzem w 8. Armii. Studiował medycynę, a po wstąpieniu do wojska uczył się medycyny zachodniej u Normana Bethune’a. Po jego śmierci dziadek rozchorował się z rozpaczy i kiedy było już z nim źle, po- wiedział, że chce wrócić do domu, bo tęskni za matką. Otrzymał zgodę na leczenie w domu. Moja prababcia jeszcze wtedy żyła.

Kiedy wszedł do domu, poczuł zapach zupy z zielonej faso- li. Prababcia szybko umyła garnek, dołożyła do ognia i zajęła się zupą; babcia chciała jej pomóc, ale prababcia odsunęła ją

laską. Dziadek usiadł na progu i niecierpliwie czekał na zupę. Ciotka mówiła, że pamięta tę scenę: powinna była przywitać się z tatą, ale nie chciała, schowała się za mamą i przyglądała się mu ukradkiem. Od dzieciństwa słyszała, jak mama i babcia opowiadały jej o tacie, ale kiedy wreszcie go zobaczyła, wydał się jej obcy. Siedział na progu z woskowożółtą twarzą, miał długie włosy, a po karku chodziły mu wszy. Nosił stary zniszczony kubrak, a z dziur w materiale wylaziła wata. Ciotka opowiadała, że jej babcia – to znaczy nasza prababcia – gotowała zupę i płakała. Kiedy zupa wreszcie była gotowa, dziadek chwycił ją niecierpliwie, podniósł miskę i nie zważając, że jest gorąca, zaczął łapczywie pić.

– Synku – upomniała go babcia – nie spiesz się tak, w garnku jeszcze zostało!

Ciotka opowiadała, że ojcu trzęsły się ręce. Kiedy wypił całą zupę z miski, nalał sobie drugą. Po dwóch miskach zupy wreszcie przestał się trząść. Po skroniach spłynął mu pot, oczy ożyły, na policzki wrócił rumieniec. Ciotka usłyszała, jak w brzuchu mu coś turkocze jak żarna. Po godzinie poszedł do wychodka i dostał takiej biegunki, jakby miały wypłynąć mu kiszki. Potem powoli mu się polepszyło i po dwóch miesiącach był zdrowy i pełen energii.

Powiedziałem ciotce, że w *Nieoficjalnej historii konfucjanistów* przeczytałem o podobnym zdarzeniu.

– A co to jest *Nieoficjalna historia konfucjanistów*? – spytała.

– Słynna klasyczna powieść – odparłem.

Zerknęła na mnie i rzekła:

– Skoro nawet w klasycznych powieściach piszą o takich rzeczach, to dlaczego jeszcze masz wątpliwości?

Po powrocie do zdrowia dziadek chciał wrócić do oddziału w górach Taihang, ale prababcia powiedziała:

– Synku, mnie już niewiele życia zostało, poczekaj do mojego pogrzebu.

Babcia wstydziła się sama z nim rozmawiać, więc wysłała moją ciotkę, swoją córkę:

– Tato, mama mówiła, że jak chcesz iść, to idź, ale zostaw mi braciszka.

W tym czasie oddziały 8. Armii w Jiaodongu kilkakrotnie przysyłały po dziadka ludzi. Był bardzo sławny jako uczeń Normana Bethune’a. Dziadek powiedział im, że jego miejsce jest w Shanxi i Henanie, na co oni oświadczyli, że jest człowiekiem partii komunistycznej i nie ma znaczenia, gdzie będzie działał.

– Brakuje nam takich ludzi jak ty. Tak czy inaczej zatrzymamy cię tutaj – stwierdził dowódca Xu. – Jak nie zgodzisz się przyjechać lektyką, każę cię przyprowadzić w kajdankach. A potem wyprawię ucztę na twoją cześć!

Tak oto dziadek pozostał w Jiaodongu i założył podziemny szpital 8. Armii.

Ten szpital naprawdę znajdował się pod ziemią. Podziemne korytarze prowadziły do różnych pomieszczeń, a te do dalszych korytarzy. Była tam sala operacyjna, ambulatorium i sale chorych. Pozostałości szpitala zachowały się do dzisiaj. Żyje jeszcze osiemdziesięcioośmioletnia staruszka Wang Xiulan, która pracowała z dziadkiem jako pielęgniarka. Z wielu pomieszczeń szpitalnych wychodziło się przez studnie. Jednego razu pewna młoda dziewczyna przyszła po wodę i jej wiadro z niewiadomych przyczyn utknęło w studni. Zajrzała i zobaczyła w cembrowinie dziurę, przez którą młody ranny żołnierz stroił do niej miny.

Wspaniałe medyczne umiejętności dziadka szybko zyskały sławę. To on usunął pocisk, który utknął w łopatce dowódcy Xu, to on przeprowadził cesarskie cięcie w czasie ciężkiego porodu żony komisarza politycznego Li i uratował życie matce i dziecku. Sugitani, dowódca wojsk japońskich w Pingduchengu, też dowiedział się o osiągnięciach dziadka. Gdy w czasie bitwy jego koń został ranny po wybuchu miny, Sugitani porzucił wierzchowca i uciekł. Dziadek zoperował zwierzę, a dowódca Xia zaczął na nim jeździć. Po jakimś czasie koń zatęsknił za domem, przegryzł uzdę i uciekł do Pingduchengu, a Sugitani, dowiedziawszy się o powrocie swego szlachetnego rumaka, bardzo się ucieszył. Wysłał jakiegoś chińskiego zdrajcę na przeszpiegi i dowiedział się, że niemal pod jego nosem 8. Armia wybudowała sobie szpital, a szefem tego szpitala jest wspaniała lekarz Wan Liufu, który przywrócił jego konia do życia. Sugitani pochodził z rodziny lekarskiej, dlatego ucieszył się na wieść o pokrewnej duszy i chciał nakłonić dziadka do współpracy. Wykorzystał więc jeden z forteli z *Dziejów trzech królestw*, kazał komuś zakraść się do naszych i porwać prababcię, babcię i moją ciotkę, a następnie pchnął posłańca z listem do dziadka.

Dziadek był komunistą z krwi i kości. Przeczytawszy list od Sugitaniego, zgniótł go i rzucił na ziemię, ale komisarz polityczny znalazł go i zaniósł do dowódcy. Dowódca Xu i komisarz Li razem napisali do Sugitaniego list, w którym nazwali go łotrem, i zapowiedzieli, że jeśli rodzinie doktora Wana spadnie włos z głowy, cała chińska armia w Jiaodongu uderzy na Pingducheng.

Ciotka opowiadała mi, że razem z babcią i prababcią spędziły w Pingduchengu trzy miesiące. Niczego im nie brakowało, nikt

im nic złego nie zrobił. Sugitani był przystojnym młodzieńcem, nosił okulary w drucianej oprawce i bródkę, miał znakomite maniery i mówił płynnie po chińsku. Do prababci zwracał się per „czcigodna ciotko”, do babci – „szanowna bratowo”, a ciotkę nazywał „sliczną brataniczką”. Ciotka nie wspominała go źle. Oczywiście wszystko to mówiła tylko prywatnie, w rodzinnym gronie, obcym opowiadała co innego. Mówiła mianowicie, że razem z matką i babką padły ofiarą japońskich prześladowań, że zmuszano je do współpracy groźbami i przekupstwem, ale one się nie ugięły.

Mistrzu, historii o moim dziadku jest tyle, że trzy doby nie starczyłyby, żeby opowiedzieć wszystkie, więc może wrócimy do nich kiedyś w wolnej chwili. Teraz muszę opowiedzieć o jego bohaterskiej śmierci. Ciotka wspominała, że dziadek zginął od trujących gazów wrzuconych przez wroga do podziemnego tunelu, w którym operował rannego. To samo zostało zanotowane w dokumentach władz powiatowych. Ale są też ludzie, którzy opowiadają, że dziadek z ośmioma granatami przy pasie sam jeden pojechał na mule do Pingduchengu. Chciał zostać samotnym bohaterem i ocalić matkę, żonę i córkę, ale nieszczęśliwie natrafił na miny podłożone w rowie rodziny Zhao.

Tę wersję rozgłaszał niejaki Xiao, który miał na imię Górna Wąrga i pełnił funkcję noszowego w szpitalu Xihai. Dziwny był z niego człowiek. Po wyzwoleniu pracował jako magazynier zboża w komunie, wynalazł bardzo skuteczną truciznę na szczury i przez jakiś czas cieszył się nawet pewną sławą, a kiedy pisano o nim w gazecie, jego imię zamiast „Górna Wąrga” zapisano jako „Górna Czystość”, co brzmiało tak samo, ale znaczyło co innego. Później wydało się, że głównym składnikiem jego

superskutecznej trutki był zakazany już wówczas środek owadobójczy. Miał na pieńku z moją ciotką, więc jego historia nie jest zbyt wiarygodna. Opowiadał mi tak:

– Twój dziadek nie posłuchał rozkazu organizacji, zostawił swoich rannych i chciał zostać wielkim bohaterem. Przed wyjazdem wypił dla kurażu litr wódki z patatów, załaził się w trupa i po pijanemu wlażył na miny ustawione przez swoich.

Xiao Górna Wargę wyszczerzył wielkie żółte zęby, jakby cieszył się z czyjegoś nieszczęścia, i mówił dalej:

– Jak twój dziadek i jego muła rozerwało, pozbierali ich do dwóch koszy. W jednym były ręce twój dziadka, a w drugim kopyta muła. I potem to wszystko razem wrzucili do trumny. Ale sama trumna była niezła, zarekwirowali ją jednemu kulakowi z Lancun.

Kiedy powtórzyłem to ciotce, zgrzytnęła zębami i rzekła:

– Ja tego drania kiedyś osobiście wykastruję! – Po czym dodała: – Dziecko, możesz w nic nie wierzyć, ale w to jedno wierzyć musisz: twój dziadek był bohaterem wojny antyjapońskiej i bojownikiem rewolucji! Na górze Lingshan jest jego grób, a w muzeum bohaterów wystawiono jego skalpel i buty. Te buty są z Anglii, sam Norman Bethune ofiarował mu je przed śmiercią.